Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Na próbach. Fot. Al. Gaponow.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 40 (695) 1 PAŹDZIERNIKA 1932 R.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na IV kwartał lub miesiąc październik.

Zawiadamiamy jednocześnie, że numery reklamowane (z powodu nieotrzymania) wysyłać będziemy przy ekspedycji najbliższego numeru po otrzymaniu reklamacji.



Z okolic Cisny w czasie rykowiska. Fot. inż. K. Weiss.

O POTRZEBIE TWORZENIA NARODOWYCH I MIĘDZYNARODOWYCH ZWIĄZKÓW ŁOWIECKICH.

Często od poszczególnych myśliwych lub kółek łowieckich słyszy się zdanie: „poco mamy należeć do jakiegoś tam Związku Stowarzyszeń Łowieckich?" Świadczy ono oczywiście o bardzo ciasnym horyzoncie pytającego, który wyobraża sobie, że skoro jego straż, a potrosze policja, pilnują jego rewiru, to właściwie niema poco należeć jeszcze do Związku, tembardziej, jeśli bezpośrednich korzyści z takiego należenia dla siebie nie widzi, lub, co często bywa, nie chce widzieć. Często bowiem pytanie to stawiają ci, którzy tem pytaniem chcą usprawiedliwić wobec innych i własnego sumienia nieponoszenie jakichkolwiek ofiar na ogólne cele łowiectwa, do czego nie są zbyt skłonni.

Częstokroć pytanie to przychodzi w innej formie, a mianowicie: „jakie są cele Związku?" Tak, jak i poprzednie, stwierdza ono niezrozumienie lub niechęć zrozumienia istoty współczesnego łowiectwa i dróg jego rozwoju w przyszłości. Stwierdzić należy, że ci, którzy podobne zdania głoszą i pytania szczerze stawiają, tkwią swemi pojęciami, abstrahując od wyżej wspomnianych wypadków złej wiary, w czysto cywilnym poglądzie na zwierzynę. Zwierzyna jest przynależnością gruntu, należy do jego właściciela i może on z nią robić, co zechce. Jest to pogląd jednostronny i bynajmniej nie wyczerpujący sprawy. Niewątpliwie kuropatwa czy zając jest własnością właściciela gruntu i praw jego współczesne łowiectwo bynajmniej nie myśli zaprzeczać. Ale od tego do prawa wyniszczania fauny na pewnym obszarze — jest bardzo daleko i prawo własności w ten sposób rozumianem być nie może, nawet w odniesieniu do tych gatunków zwierzyny, które się zżyły z człowiekiem i sztucznie dają się rozmnażać. Usunięcie bowiem t. zw. kulturalnej zwierzyny, jak np. kuropatwa lub zając z pewnego obszaru jest szkodą społeczną, niełatwo dającą się naprawić.

Tak się ma rzecz w odniesieniu nawet do zwykłej tak zwanej kulturalnej zwierzyny, nie zagrożonej całkowitem wyniszczeniem, którą sztucznie możemy hodować u siebie w rewirze, nawet w nadmiernych ilościach, ponosząc odpowiednie koszty. W odniesieniu do tak zwanej niekulturalnej zwierzyny, której utrzymanie i rozmnożenie w małym tylko stopniu jest zależne od woli i wysiłków człowieka, sprawa już się znacznie komplikuje. Tu oparte o prawo własności wyniszczenie zwierzostanu często nie da się już nigdy naprawić i stanowi niepowetowaną stratę o światowem nieraz znaczeniu. Wyginięcie takich przedstawicieli fauny, jak tur, albo obecnie zagrożony żubr, a także szeregu innych, które nastąpiło stosunkowo niedawno, w historycznych czasach, jest niepowetowaną stratą całej ludzkości. Niepotrzeba jednak całkowitego wyginięcia pewnego gatunku, już wyginięcie go na pewnym obszarze lub w danym kraju, jest bardzo ciężką stratą.

Sposób, w jaki odbywa się rozwój tak zwanej „cywilizacji" w szybkiem i zastraszającem tempie powo-

duje wyginienie i zmniejszanie się liczby poszczególnych gatunków fauny oraz miejsc, w których gatunki te mają swych reprezentantów.

To zanikanie i kurczenie się fauny niekoniecznie zawsze zależne jest od rozwoju stosunków gospodarczych świata i procesu przemieniania naszego globu na jedną fabrykę potrzebnych człowiekowi surowców. Przyczyną bywa częstokroć bezmyślność i nieoględność, z jakiemi to dostosowywanie bywa przeprowadzane.

Szczęśliwa i prawdziwie „ludzka" myśl byłaby w stanie uratować byt i ostoje jeśli nie wszystkich, to przynajmniej wielu przedstawicieli fauny. Obsadzenie łozą rowów odpływowych w osuszonych lasach Prus Wschodnich zachowało ostoje i umożliwiło tam dalszy byt łosiom. Zakładanie sztucznych gniazd w zamienionych na „fabrykę drewna" lasach umożliwia dalszą egzystencję tak pożytecznym rzeszom różnych gatunków sikorek, kowalików pełzaczy i dzięciołów, których przez usunięcie starych dziuplastych drzew dosłownie pozbawiono „dachu nad głową" względnie możności wychowywania potomstwa.

Z drugiej strony mamy do czynienia z objawem podniesionym już na łamach Łowca Polskiego — że puszcze nasze w znacznej mierze przeżyły swoich mieszkańców, i że posiadamy wiele bardzo pięknych rewirów, w których niczego nie brak, prócz zwierzyny. Podobnie jest i w innych krajach. Nie umiano więc częstokroć utrzymać fauny i zwierzostanów nawet tam, gdzie zdawałoby się istnieją wszelkie warunki po temu.

W wyniku — naczelne hasło kulturalnego człowieka: „umieć współżyć z otaczającą go żywą przyrodą" i naczelna zasada współczesnego łowiectwa: „brać z darów przyrody tyle właśnie, ile można, nie naruszając źródła jej bogactw" są dotychczas tylko hasłami dalekiemi od głębszego ich zrozumienia i istotnego realizowania. Wprowadzenie tych haseł w życie, nadanie im właściwej treści, to właśnie zadanie i cel współczesnego łowiectwa. Czy istotnie współczesny świat łowiecki bliski jest realizacji tych haseł? Stwierdzić należy, mimo częstokroć odmiennych pozorów, — że nie.

Co my naprawdę wiemy o życiu otaczającej nas fauny, w szczególności bliżej nas obchodzących zwierząt łownych? Poza kuropatwą i zającem, należącemi do t. zw. kulturalnej zwierzyny, t. j. takiej, na której rozmnożenie człowiek może wywierać odpowiedni wpływ — bardzo niewiele.

Już jeleń i sarna, należące także do t. zw. kulturalnej zwierzyny, dają nam wiele zagadnień, na które odpowiedzi, jakie mamy, nie mogą być uznane za dostateczne. O naszym miejscowym jarząbku wiemy, że idzie na wab, a o słonce — że chrapie. Poza tem — doprawdy niewiele więcej. Stwierdzeniem naszej nader skromnej znajomości warunków bytowania zwierzyny, są trudności, jakie napotykamy przy usiłowaniach podniesienia lub choćby utrzymania na tym samym poziomie jej liczebnego stanu.

Jeszcze bardziej jaskrawo uwidocznia się to, gdy chodzi o t. zw. zwierzynę przelotną lub o ponowne osiedlanie zwierzyną rewirów. Oczywiście na tem tle dotychczasowa „umiejętność współżycia z otaczającą nas żywą przyrodą" przedstawia się jeszcze bardzo mizernie, jak również sztuka nienaruszania źródeł jej bogactw przy korzystaniu z jej darów. Pole do badań i pracy jest bardzo duże, a niebezpieczeństwo doprowadzenia do dalszego poważnego zaniku otaczającej nas fauny — bliskie. Współczesny świat łowiecki, jeśli chce faunę, którą widzi koło siebie, przekazać następnym pokoleniom, musi energicznie zapobiec grożącym niebezpieczeństwom. Największe z nich kryje się w owej nieumiejętności współżycia z otaczającą fauną.

W tych warunkach myśliwi całego świata nie mogą być niezorganizowaną bandą, niszczącą lekkomyślnie bogactwa otaczającej przyrody. Broń myśliwska nie może być mieczem w ręku szalonego, przeznaczonym na wyniszczanie jej bogactw. Myśliwi na całym świecie muszą stać się karnymi członkami narodowych organizacyj łowieckich, rozumnie i celowo kierujących całym stosunkiem swych społeczeństw do otaczającej je fauny. W ten sposób przy odpowiednim nakładzie myśli i woli można będzie nietylko niejedno uratować od zagłady, ale częstokroć napowrót przywrócić kniejom ich mieszkańców. A jak nie jest to osiągalne w granicach jednego rewiru (szczególniej o 100 ha), tak podobnie wiele z zadań w tej dziedzinie nie jest osiągalne w granicach jednego państwa. Stąd potrzeba tworzenia Międzynarodowego związku łowieckiego. Całkowita zmiana dotychczasowego stosunku człowieka do otaczającej go fauny i nieustające korygowanie tego stosunku i to na całym świecie, jest zadaniem tej organizacji.

Tak się sprawa przedstawia ogólnie. A jak przedstawia się u nas? Czy istotnie stosunki łowieckie u nas nie pozostawiają już nic do życzenia? Czy podobnie nie pozostawia nic do życzenia stosunek do spraw łowieckich szerokich mas społeczeństwa, władz, no i samych myśliwych? Czy wszystko na tem polu jest zrobione i czy nawet dotychczasowym zdobyczom z żadnej strony nic nie grozi? Czy posiadamy potrzebną literaturę i piśmiennictwo? Czy wreszcie jesteśmy zdolni i przygotowani do współdziałania z innemi narodami na polu zagadnień łowieckich? Sądzę, że odpowiedzi na te wszystkie pytania brzmiałyby nader skromnie, a pole do pracy leży przed nami jeszcze bardzo duże.

Niema więc innej drogi, jak tylko tworzyć zorganizowane i świadome swych celów kadry. Tylko wspólnemi siłami stworzymy prawdziwe, godne tej nazwy, Łowiectwo Polskie, zdolne współdziałać ze związkami innych narodów na polu ochrony fauny *) całego świata.

WALENTY GARCZYŃSKI.

*) Mówiąc o „faunie", mam oczywiście na myśli przedewszystkiem t. zw. „faunę łowiecką". Niewątpliwie jednak należyte ustosunkowanie się świata łowieckiego do tej fauny będzie miało bardzo daleko idący wpływ na losy pozostałej „fauny" i na całą sprawę zagadnienia ochrony przyrody". *W. G.*



CZOŁÓWKA.

(OBRAZEK Z PRZYRODNICZO-MYŚLIWSKIEJ MONOGRAFJI JELENIA NIZINNEGO).

Pierwsze dni sierpnia dawały niezbite dowody, że lato trwa jeszcze w całej pełni. Upały, dochodzące w ciągu dnia do trzydziestukilku stopni, słabły dosyć nagle przed wieczorem, pozwalając chłodnej rosie i mgłom opadać na zręby, halizny i zagajenia.

Podchody zwierzyny w tych dniach były właściwie poświęceniem się, na które zdobyć się mógł tylko zamiłowany myśliwy - przyrodnik. Roje komarów nawet w suchym, wrzosowiskowym sosnowym borze odbywały swój piekielny taniec, przypominający rytmiką ruchów jakąś maszynę, której dziesiątki dźwigni naprzemian unoszą się i opadają. Chwila przystanku na ścieżce myśliwskiej wystarczała, by w przeciągu kilku sekund dziesiątki tych natrętów obsiadło myśliwego od stóp do głowy i pomimo rozpaczliwego wachlowania rękoma, wpiło się boleśnie nawet przez grubą pończochę w skórę. Tylko specjalnie dostosowane ubranie, rękawiczki i denerwująca siatka, zwisająca z kapelusza, mogą uchronić od tej plagi.

Ale nietylko myśliwy cierpiał od tych natrętów. Zwierzyna, a przedewszystkiem delikatne sarny leżą do zmroku prawie w najgęstszych zagajeniach, a te, które zmuszone głodem wyszły na paszę, co chwila w krótkim i gwałtownym galopie uciekają od obsiadłych je rojów komarów.

Nawet szukającego jeszcze przygód miłosnych rogacza trudno spotkać.

Słońce utonęło zupełnie w zieleni koron puszczy nadnoteckiej. Czerwonawe odbłyski zsuwały się po strzałach nieruchomych sosen i zda się zapalały bujne, zwiędłe piaskowe turzyce na rozległych haliznach. Roje komarów, jakby zgniecione zapadającym mrokiem, znikły przy ziemi.

Idąc z dobrym wiatrem (warunek podchodów każdego doświadczonego myśliwego) t. zn. pod wiatr ledwo wyczuwalny od półn. - zachodu, dobrze wygrabionemi ścieżkami wśród zagajeń i tyczkowin, przystanąłem w zagajeniu nad „Cygańskim Dołem". Ukryty dobrze na ścieżce, mam przed sobą dziewięćdziesięcioletni drzewostan sosnowy w kształcie smugi o studwudziesto metrowej szerokości — bezpośrednio za nim gęste szesnastoletnie zagajenie.

Dobrem, sześciokrotnem, pryzmatycznem szkłem Zeissa, przeglądam dokładnie brzeg przeciwległego zagajenia i w małej łuce dostrzegam nieruchomy prawie łeb łani. Szeroko rozwarte świece z widocznem skupieniem i natężeniem przeglądają drzewostan, w którym pasące się spokojnie dwie siuty, jakby straż przednia, dają świadomość oglądającej je łani, że spokoju nie zakłóca człowiek lub jakiś niebezpieczny drapieżnik. Wysoko uniesiona gęba łowi w rozwarte chrapy zapachy rozgrzanej żywicy, więdnącego igliwia, zeschłych traw i silnie woniejących grzybów, doszukując pomiędzy temi, dobrze znanemi zapachami ostrej woni ciała człowieka, potęgowanej niestety zbyt często przez przygodnych myśliwych zapomocą różnorodnych zapachów wód toaletowych, mydeł i pudrów. Silnie owłosione od wnętrza siwym włosem łyżki odchylają się naprzemian w różnych kierunkach, wysłuchując wszystkie dosłyszalne szmery.

Jak śmiesznie i dziecinnie wyglądać musi w oczach tej bystrej obserwatorki biegający po kniei szybkim krokiem myśliwy, nie zważający na to, że dudnienie szybkich i silnych kroków słyszy zwierzyna, że dostrzega ruch najbardziej go może zdradzający, słyszy łamanie nieostrożne suchych gałązek, dźwięk gałęzi o broń, nie mówiąc już o kaszlu i kichaniu. Dlatego też doświadczeni i zapamiętali myśliwi powtarzają stale pozorny paradoks: „podchodząc zwierza — nie biegnij, idź powoli, raczej stój!".

Lelek kozodój załopotał skrzydłami.

Coraz mroczniej...

Łania bez szmeru ukazała się się w całej swej smukłej i okazałej postaci w starym drzewostanie. Krótką chwilę patrzyła jeszcze wokoło a następnie schyliła łeb ku zielonym wrzosom. Wtedy, jak na dany znak, zaczęły się wynurzać z zagajenia młorsze łanie a obok nich o jaśniejszej jeszcze sukni, cielątka. Zaroił się brzeg starego boru. Pięć łań i trzy cielaki znalazły się przy niej, ostrożnej, doświadczonej czołówce, która, obejrzawszy się na całą chmarę, sprawdzała, czy wszystko w komplecie i czy która z mniej doświadczonych nie zmienia kierunku. Poskubując trawę, zawsze ostrożna i baczna na wszystko, prowadziła w zapadającą noc chmarą na pola, odległe o trzy kilometry, z wiatrem, by rano o brzasku wrócić bezpiecznie pod wiatr do ostoi. Byków przy stadzie niema. Chodzą jeszcze same późną nocą, przenosząc się dziesiątki kilometrów z miejsca na miejsce, wyszuku-

jąc knieje, które mają najwięcej pięknych łań i spokoju, by wrócić tam lub pozostać na czas walk rycerskich i rozkoszy.

Myśląc o celu marszu tej jeleniej chmary, zielonych polach seradel i soczystych ziemniaków i buraków, doznałem strachu na myśl o tem, gdyby nie prowadziła jej bystra czołówka.

Na brzegu lasu w wykopanych dołach siedzą noce całe myśliwi - ścierwiarze. Zwykle pan sołtys z kompanami lub zaproszony z miasteczka rzeźnik, kowal lub rakarz. Śrutowe dwururki nabite mocno siekańcami lub loftkami widnieją z dołów. Ścierwiarze czekają, by móc z nich wygarnąć te siekańce na każdą bez wyboru zwierzynę, sarnę czy koźlątko, łanię czy sysaka, obojętnie, żeby tylko ścierwo było.

Ile to zasadniczych braków mają ustawy łowieckie już nietylko z punktu widzenia hodowli zwierzyny, jako dobra społecznego, ale z punktu ludzkiej etyki i humanitarności!

Ranna siekańcami zwierzyna w większości wypadków nie pada na miejscu, tylko zawraca do swej spokojnej ostoi pełna bólu i męki, żeby za kilka godzin zginąć w męczarniach. Następnego ranka lub za dni kilka znajdzie ją leśnik i z ściśniętem z żalu sercem zaklnie — bezsilny...

Ustawa pozwala na to!

Nikt z tego niekulturalnego strzału nie ma korzyści. Społeczeństwo straciło bezpośrednio kilka lub kilkadziesiąt kilogramów doborowego mięsa i skórę, które zgniły, — łowisko i jego użytkownicy w najszerszym zakresie — matkę, która mogła dać tyle i tyle sztuk cieląt lub koźląt.

Sądzę, że tych kilka słów i myśli, wyjętych z codziennej rzeczywistości, zharmonizuje się w potężny akord przykazania myśliwego, płynącego po wszystkich łowiskach: „nie strzelać czołówek w czasie odstrzałów hodowlanych i selekcyjnych".

Chmara znika mi z oczu w niedalekiej drągowinie...

Uśmiechnąłem się pewny, że jej przodowniczka uchroni te piękne stworzenia od siekańców.

Mrok zapadał coraz gęstszy...

Trzeba wracać.

Zawróciłem cicho ścieżką na duże halizny zrębowe, na których można dojrzeć jeszcze zwierzynę.

Przechodząc obok starego, rzadkiego drzewostanu sosnowego nad „Cygańskim Dołem", dojrzałem nagle, że jeden z jałowców porusza się. Przez szkło jednak sprawdziłem, że nie jest to jałowiec tylko dzik-pojedynek, wykonywujący jakby ruchy tarana, bombardującego mur obronny. Podchodzę cichutko bliżej i widzę dokładnie, że to dobry odyniec o anormalnie białym ogonie. Wsadził gwizd pod stary pniak sosnowy i koniecznie chce go wykarczować.

O mało nie parsknąłem głośno śmiechem na ten widok, który tak mnie zajął i zachwycił, że nawet nie pomyślałem o możności strzelenia tego oryginała z Mannlichera z lunetą, wiszącego na ramieniu. W zimie — pomyślałem — spotkamy się, jak będziesz miał piękną, pełną suknię i dużo grzechów na sumieniu za połknięte zajączki i poprzewracane ziemniaki.

I nie chcąc przerywać mu jego śmiesznej pozornie, sanitarjuszowskiej dla lasu roboty, wycofałem się cichutko ścieżką.

Gwiazdy zaczęły się zapalać, jakby jedna od drugiej, a mleczna droga dawała świadectwo i nadzieję trwałej pogody.

U wylotu duktu na drodze publicznej, wiodącej do leśniczówki, stał Tadeusz, mój wychowanek-leśniczy, posiadający wszystkie zdolności Indjanina-tropiciela.

Salutując, szepnął głosem pełnym radości: „Panie nadleśniczy, widziałem w „Czarciem Bagnie" starego kawalera. Kąpał się. Końców ma niedużo, ale tyki grube, jak ramię".

Przy szczegółowem sprawozdaniu o tropach na znanych mi wagach*) doszliśmy do leśniczówki.

W skromnej, jasno oświetlonej komnacie powitały mnie duże, czarne, pełne radości życia oczy siostry Tadeusza.

Podczas krótkiego snu przed rannym podchodem, marzyły mi się naprzemian czarne, duże oczy Zosi i łani czołówki.

INŻ. STANISŁAW WOSZCZYŃSKI.

*) Waga — stałe miejsce przechodu zwierzyny grubej.

NA ZLOCIE.

Nad halizną, wśród lasów i błot zagubioną, dzień wstawał cichy, jesienny, zamglony. Nieśmiały brzask bladej jutrzenki walczył z gęstą zasłoną oparów, ścielących się nisko nad łąkami, operlonemi srebrną, połyskującą rosą. Młode subtelne brzózki — pierwsze zwiastunki nadchodzącej jesieni, tworzące malowniczą grupę na skraju podmokłego lasu, przybrały kolor dziwnie jasny. Ich drobne, piłkowane liście spływały cicho, bezszelestnie na ziemię, lśniąc wśród traw, jak kwiaty. Cisza panowała taka, że naprożno ucho starało się złowić choćby najlżejszy szmer. Aromat więdnącej roślinności nasycał powietrze chłodne i orzeźwiające.

Z nad dalekiej ściany lasu, na tle modrego bez chmurki nieba, wypłynęły nagle cztery sylwetki bocianie. Wolno, majestatycznie powiewając czarno-obrzeżonemi skrzydłami, leciały ptaki na odkrytą haliznę. Dotarły do niej, zniżyły się i wysuwając do przodu długie, szczudlaste nogi, opadły ciężko na zroszoną, wilgotną darń. Krótkiemi strzepnięciami zwartych skrzydeł ułożyły należycie, uporządkowały nastroszone i rozwichrzone w locie pierze, musnęły się parokrotnie dziobami po grzbietach i rytmicznie wyprostowując nogi, rozpoczęły spacer po łące. Rodzice o jaskrawo-czerwonem zabarwieniu nóg i dziobów, czynili przegląd wnętrza wysokiej trawy, a dwoje młodych stało w miejscu, rozwierając swe długie, czarne jeszcze dzioby, lub manipulując niemi koło własnych skrzydeł. Były jeszcze zbyt leniwe, by troszczyć się o potrzebę ruchu, czy o estetyczny wygląd swych szat.

A tymczasem w górze, jak białe płatki śniegu, pojawiły się nowe zastępy bocianów. Hen, wysoko, ma-

leńkie jak muchy wirowały ptaki na rozpostartych nieruchomo skrzydłach. Zataczały bezustanne koła, zniżały się i znowu wzbijały w górę, przeganiały się wzajemnie, wymijały w locie, napełniając okolicę salwami zmodulowanego przez odległość klekotania, bardziej ciągłego na początku, potem coraz wolniejszego, z dłuższemi w międzydźwiękach przerwami. Natenczas samiec z łąki rozrzucił długie, żałobne skrzydła, opuścił je ku ziemi, a zarzuciwszy nagle głowę na grzbiet— zaklekotał długo, spazmatycznie...

Pławiące się w przestworzach bociany odpowiadały. Wiraże ich nabrały energji i siły. Zaczęły zniżać się, aż wreszcie jęły pojedyńczo zapadać na zielony bezmiar przymglonej halizny. Klekot, przeplatany jakiemś nieokreślonem charczeniem i sykiem, trwał bez przerwy. Ptaki naradzały się, zbierały grupkami, rozwierały skrzydła, dygały, robiły fantazyjne piruety... A tymczasem z oddali nadciągały nowe rodziny, inne stadka. Zlot trwał w całej pełni, łąka pokryła się ptakami. Już nie jednostki, lecz dziesiątki i setki możnaby było naliczyć. Ale ile ich jeszcze kołowało w powietrzu!

Przyciszony chwilowo klekot, nagle wybuchnął ze zdwojoną siłą. Zaszumiały lotki rozpostartych skrzydeł; jak białe węże zakołysały się wygięte, pochylone do tyłu szyje. Przejmujący syk przeszył powietrze. Setki głów bocianich zwróciły się w stronę mokradła. Stamtąd, ciężko pracując lotami, leciał pojedynczy bocian. Wyglądał, jak wszystkie inne. Tak samo trzymał poziomo wyprostowaną głowę, tak samo wlókł za sobą niby kraśne patyki — wydłużone nogi. A jednak z całej jego postaci biła jakaś starcza rezygnacja, jakaś nuta cierpienia. Przyleciał. Osiadł cicho na łące, potoczył bezradnie zalęknionem wejrzeniem po zgromadzonych ptakach. Zdawał się czegoś szukać. Wreszcie wyprostował się, zrobił kilka kroków, silnie utykając. Był kulawy.

Poruszył się barwny łan bociani. Ptaki jęły się gromadzić dookoła osamotnionego przybysza. Klekotanie umilkło. Utworzył się na zielonem tle łąki duży, biały krąg, którego wnętrze stanowiła zaledwie jedna biała kropka. To on, kaleka. Lecz tych kropek przybywa. Zafalowała gromada, wyłaniając z siebie jeszcze dwie sztuki, młode, czarnodziobe. Jedna powłóczyła zwisającem skrzydłem, druga szła jakoś chwiejnie — może była ślepa? Stanęły obie przy starym kalece.

Czas jakiś trwało milczenie, zakłócone niekiedy tylko sykiem któregoś z młodych, karcone natychmiast wymownym gestem rodziców. Cisza ta była jakaś groźna, przytłaczająca. Wyczuwały to wszystkie zgromadzone bociany — rozumiały i owe trzy sztuki, biedne, okaleczone... Opuściły bowiem nisko głowy, zdając się nad czemś rozmyślać, drgając przytem nerwowo końcami złożonych na grzbiecie skrzydeł. Cisza, przewlekając się coraz bardziej, stawała się nużącą, wprost nieznośna. Chciało się, by to, co miało nastąpić — prędzej się już odbyło.

Naraz klekot gwałtowny i syk przejmujący wstrząsnął okolicą. Bociany wewnątrz koła drgnęły i pochyliły się jeszcze więcej. Pierścień dookoła nich zacieśniał się coraz bardziej. Długie, rozwarte szeroko dzioby rzeszy, pałały nieuzasadnionym gniewem, może nawet wściekłością. Gromada bociania wrzała, kotłowała się i nagle przestrzeń, oddzielająca trójkę kalek od ogółu, znikła pod naporem skrzydlatej chmary, która wchłonęła ich w siebie. Wrzask i syk wzmógł się, rozległy się uderzenia dziobów i skrzydeł, i coś — niby jęki ciche, nieuchwytne. Kłębowisko ptasie nie dozwalało widzieć, co się tam właściwie dzieje.



Fot. Wł. Korsak.

Lecz oto razy słabną. Gromada bocianów z głośnym łopotem skrzydeł zerwała się do lotu. Na zdeptanej darni pozostały dwa już na wieki unieruchomione, okrwawione ciała czarnodziobych kalek, a tuż obok dogorywał nieszczęsny, kulawy bocian-starzec. Wznosił jeszcze słabą głowę, usiłował poruszyć zdruzgotanemi skrzydłami, prężył pierś, z której uchodziła krew... Gasnące wejrzenie przenosił z zabitych towarzyszów na dalekie, ginące już za lasem stado. Głowa mu opadła; przymglone oczy nie zawierały jednak w sobie buntu przeciwko niespawiedliwości, jaka go spotkała. W jego mniemaniu było to właśnie sprawiedliwe, bo czyż kaleka lub starzec zgrzybiały może się przydać społeczeństwu? Te czarne, wyraziste dawniej oczy, kryły w swej głębi tylko nieutulony żal, że umiera, że do gniazda na starym jesionie już więcej nie powróci.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

METODY MOJEJ PRAKTYKI W OSIEDLANIU ZWIERZYNY.

Niejednokrotnie słysząc od wielu hodowców - myśliwych użalanie się, że drogim kosztem sprowadzane okazy pierzaste, jako też czworonożne nie zatrzymywały się na stałe w nowo zasiedlanych rewirach, bardzo prędko ginąc, lub gdzieś bez śladu emigrując, — chciałbym podzielić się z Szan. Czytelnikami wynikiem moich długoletnich doświadczeń.

W trakcie swojej, trzydziestoletniej niemal „karjery" pod tym względem, sądzę, że nabyłem pewną sumę fachowych wiadomości.

W osiemdziesiątych latach ubiegłego stulecia objąłem moje rodzinne łowiska wierzchowieńskie w nieco opłakanym stanie pod względem hodowlanym zwierzyny.

Paręset zajęcy, kilka stadek kuropatw na przestrzeni sześciu tysięcy hektarów (w czem 1200 lasu), brak kompletny rogaczy, — każdy przyzna, stanowiło to nader skromny etat łowiecki.

Coprawda natenczas roiło się na naszych dzikich polach od przepiórek, kaczek, kszyków, gęsi, a poniekąd i dropi. Oczywiście też i... drapieżników przeróżnych. Na jednej obławie padało 15 — 20 wilczków i po kilkadziesiąt lisów.

Drobne odmiany krwiożerczych tępicieli — jak kuny, tchórze, gronostaje, łasice — roiły się wśród tych pierwotnych terenów.

W sferach powietrznych nie mniej było gołębiarzy, krogulców oraz orłów przelotnych w okresach zimowych.

Oczywiście żadnego podkarmiania zwierzyny nie było.

Las Boży i zwierzyna Boża!

Wobec podobnej sytuacji należało przedewszystkiem oczyścić lasy, pola, błota i wody od niecnych rabusiów, co też wykonano wytrwale i sumiennie w ciągu lat szeregu. Później dopiero rozpoczęto dożywianie w okresach głodowych. Następnie już stopniowo podejmowano zabiegi około sprowadzania jaj bażancich, zwykłych w początkach, a potem coraz rzadszych odmian, mianowicie reevesi, versicolorów, mongołów, serbrnych i t. p.

Robiliśmy z moim wybitnym dyrektorem bażantarń, p. Maciejem Choinką, coraz to nowe eksperymenty z produkcją hybrydów królewskiego bażanta z łownym, sprowadzaliśmy jaja kusaków (tinamu), czerwonych i zwykłych kuropatw i cietrzewi. „Leporydy" — rozmnożyły się u nas „jako gwiazdy na niebie" — li tylko drogą pilnej ochrony i należytego odżywiania zimą, rogacze też — bez sprowadzania ani jednej — „obcej" sztuki.

Daniele i dziki natomiast pochodziły z importu.

Wspominam o tem wszystkiem dlatego, żeby stwierdzić wobec tych okoliczności pewne prawo moralne do przytoczenia szeregu wskazówek praktycznych w tych zagadnieniach hodowalnych. Szanownym moim Kolegom z pod zielonego sztandaru i wyznawcom szlachetnego kunsztu osiedlania nowych, lub powrotu niegdyś „byłych" gatunków. A że potrzeba tego zachodzi nieraz w opustoszonych powojennych łowiskach, — dwóch zdań być nie może.

* * *

Więc co się tyczy wogóle sprowadzania na nowe obszary — czy to latających, czy też biegających okazów, winniśmy przedewszystkiem posiadać rewiry już należycie oczyszczone, o ile to możliwe, od wszelkich drapieżników.

Jeśli ten warunek nie jest poprzednio wykonany, to szkoda czasu i atłasu.

Na bok przy tem powinniśmy nie tylko odłożyć wszelkie „mądre" teorje o „selekcyjnej" działalności lisów, kun i... innych gołębiarzy, ale je starannie tępić, ile się da, nawet wytępić...

Nie bój się owego strasznego w swem „okrucieństwie" słowa, gdyż możesz być pewnym, Czytelniku najmilszy, że zawsze z okolicznych terenów przybędzie aż nadto nowych, niepożądanych raubszyców i zjadaczy hodowanej zwierzyny.

Szczególnie ogromnie trudno jest wyplenić drobnych, tak mało rzucających się w oczy szkodników, tych misternych łasiczek, włóczących się po nocach kotów, psów kłusujących, srok złodziejek, wron, zawziętych amatorek jaj i piskląt i t. d.

Tajemna ponura, nocna robota większości drapieżników tylko metodą umiejętnie zastawionych pułapek i żelaz, z wielką znajomością rzeczy zakładanych, może być sparaliżowaną i to... nie zawsze gruntownie.

Następnie — nigdy sprowadzonej zwierzyny nie należy wypuszczać odrazu, lub w krótkim nawet czasie po otrzymaniu takowej.

Każde żywe stworzenie jest bowiem zawsze zdezorjentowane, po prostu mówiąc zgłupiałe na nieznajomem miejscu.

Musi się koniecznie zwierzyna należycie rozpatrzyć na nowym dla niej terenie. Notabene, teren powinien być ściśle zastosowany do specjalnych wymagań danego gatunku zwierza, czy ptaka, powinien posiadać warunki do jego zaaklimatyzowania się.

Dlatego też robimy dla czworonożnych ogrodzenia w centrum rewirów, dla pierzastych — woljery „parkety", w których je na pewien czas osadzamy.

Bo jeśli bezpośrednio z kosza, czy paki przybyłe do nas okazy, zostaną „wyrzucone" na wolność, chociażby w najodpowiedniejszych dla nich zakątkach, to możemy być pewni, że rozlecą się i rozbiegną, gdzie pieprz rośnie.

Rezultat będzie jednaki, także od przymusowego wypędzania z podróżnej, lub czasowo nawet wystawionej na terenie ubikacji.

Pamiętać zawsze należy, że li tylko sam indywidualnie, kiedy i jak zechce, może bażant, cietrzew, czy sarna sprowadzona opuścić zagrodę, czy parkel, w którym pewien potrzebny dla tego okres czasu spędziła. Długość zaś tego czasu ja przynajmniej określam minimum — na kilka tygodni.

Najbardziej pożądanem byłoby czynić to po perjodzie lęgu dla pióra i okocenia się dla sierści.

To jest ideałem!

Naturalnie, kiedy chodzi o sprowadzenie młodych bażantów, kuropatw, warchlaków, czy też cieląt rodu koziego, to nie zawsze doczekać się można tych okoliczności. W podobnych razach mogą one wyjść sobie same na wolność nawet po paru miesiącach swojej klauzuli. Ale rekolekcje podobne koniecznie zawsze muszą się odbyć — inaczej cała impreza to noszenie wody rzeszotem i nic więcej!

Dalej, — odpowiednie paśniki, odpowiednio obsiane półka hodowlane, remizy; jeśli ma się doczynienia z polną zwierzyną, powinny też „ad hoc" już zawczasu być założonemi na danym obszarze.

Pragnąc zatrzymać u siebie dziki, oraz głuszce, cietrzewie, jarząbki, należy liczyć się z okolicznością, że wymagane przez nie tereny, jak mokre ostępy, mszarniki, brzeźniaki, a dl „tetrao bonassia" — zagęszczone świerczyną z leszczyną i podłożem li-

ściowego „humusu", powinny koniecznie stanowić integralną część przeznaczonych dla tej hodowli, terenów.

Jeśli, powtarzam, uda się nam doczekać własnych jaj — „z woljer", albo potrafimy dostać dobre, niezasiedziałe jeszcze jajka tych ptaków, wynik będzie murowany.

Mój p. Choinka, pracując w Ordynacji Zamoyskiej, w swych młodocianych latach, prawda, że zaopatrując się w jajowy materjał cietrzewi, sam osobiście na miejscu wyhodowywał z pod kur kilkadziesiąt sztuk rocznie ciecieruków. Żyły one i rosły sobie w najlepszej komitywie w bażantarni razem z kurczętami „phasianusów", aż do późnej jesieni.

Częstokroć, po deszczu, widywało się niesamowity sznur wyrośniętych już dobrze „murzynów" „farbowików" — na parkanie ogrodzenia, suszących się w słońcu.

Później atawistyczna dzikość brała górę!...

Rozlatywało się całe to bractwo po okolicy!

Częściowo, przyłączając się do dzikich stadek, koczujących ze swoją starką - cieciorką, częściowo stwarzając samorzutnie kompanje, ale zawsze, rzecz dziwna i godna uwagi, po kilka okazów tylko, jak to z normalnie urodzonemi bywa. W głębokiej jesieni, po przymrozkach, gremjalnie przyłączały się do większych zimowych stad dla wylotów na pączki brzozowe.

Słowem — żadna edukacja, pomimo swych wyrafinowanych metod, nie mogła stłumić zaczątków przedziwnego tego zastosowania się do potrzeb swego rodu.

Zwykle, popularnie instynktem to zowiemy.

Czy nie stanowi ten pierwiastek podłoża i nie nosi cech rozumu, w który tak szczodrze nieraz uposażone bywają skromne istoty świata zwierzęcego.

Częstokroć wynoszący się król przyrody staje zdumiony niejednym objawem, podziwiając potęgę tego, co Ojcem naszym jest!

Mądrość wszechstworza niejednego nas uczy!!

* * *

Uwzględniając te wszystkie okoliczności, nigdy nie trzeba opuszczać rąk i tracić nadziei przy niefortunnych pierwszych zabiegach osiedlenia nowych, czy też „da capo" osiedlanych gatunków.

Jeśli pierwsze próby wypadły niefortunnie, przyczyną tego bywa zawsze zaniedbanie jednego z warunków, o których wyżej wspominałem. Jestem głęboko przekonany, że można „rozprowadzić" wszystkie odmiany „tetraonidów" jako też aklimatyzować nie jeden, zupełnie nowy gatunek ptactwa łownego ze stref egzotycznych nawet czworonożne objekty, ale zawsze czyniąc to umiejętnie i z metodą. Inaczej cała robota i zabiegi psu na buty się nie zdadzą!

Dla osiągnięcia dobrych rezultatów potrzebny jest albo osobisty nadzór tej całej operacji, jeśli się już posiada niezbędne pod tym względem doświadczenie praktyczne, albo obecność fachowego współpracownika. Powiem więcej, zamiłowanego, z wielką dozą erudycji, niezbędnej w kwestjach hodowlanych.

Przeciętny, zwykły bażantarnik też niewiele tu pomoże!

Ale nie święci garnki lepią!

Kto sam ma to szczęście, że zamieszkuje na własnym kawałku ziemi, lub administruje takowym, ten zawsze będzie w stanie poradzić się ludzi kompetentnych i osiągnąć pożądane wyniki.



Fot. Wl. Korsak.

A, dalipan, każdy hodowca - myśliwy delektować się będzie mógł widokiem dotychczas pustych rewirów, zasiedlonych przez niego pewną ilością głuszców, cietrzewi lub jarząbków!

Kto wie! może grousów nawet, które tysiącami w sezonie idą na odstrzał na „moorach" szkockiej krainy! Bo, kto wie,... czy nie udałoby się ich także osiedlić na pardwich terenach naszej wileńskiej ziemi, na bezkresnych mszarach litewskich! Nie mówię już o egzotycznych odmianach.

Tyle arcyciekawych doświadczeń na tem wdzięcznem polu możnaby u nas dokazać! Niejedno zagadnienie, niejedna kreacja jest zawsze możliwą. Kto posiada mentalność Pygmaljona, martwą Galateę ożywiającego, ten mnie zrozumie.

A tyle mamy śród nas zamiłowanych hodowców i ludzi dobrej woli.

ADAM RZEWUSKI.

WSKAZÓWKI ŁOWIECKIE NA PAŹDZIERNIK.

Jesień się zbliża. Las blednie, liście zaczynają opadać z drzew, niebo jeszcze chwilami rozjaśnia się swym błękitem, słońce świeci słabiej lub niknie zupełnie, przychodzą dni pochmurne, ciche, lecz jeszcze pogodne. Nasza polska złota jesień w pełni.

Poważną troską myśliwego w październiku będą starania, aby zbliżająca się zima, wróg zwierzyny, nie była przyczyną jej wyniszczenia. Wszelkie zabiegi w tym kierunku winny być spełnione z podwójną gorliwością. Myśliwy, czy to rolnik, czy leśnik, jako mi-

łośnik zwierzyny, przynoszącej mu tyle rozrywki i emocji łowieckiej, a w ciężkich dzisiejszych czasach pozwalającej mu czerpać niejednokrotnie znaczne dochody pieniężne, musi dbać o nią, aby osłabiona głodem w zimie nie padała z wycieńczenia lub nie stała się łupem kłusownika i wnykarza. Myśliwy, pod którego zarządem lub własnością są knieje leśne, a więc równocześnie i hodowca lasu winien pamiętać, że przez dostarczenie zwierzynie karmy zimowej, uniknie wielu szkód w lasach: obgryzania kultur, młodych pędów i pączków w zagajnikach, obdzierania kory i zniekształcania drzew, do czego zwierzyna głodna jest zmuszoną, nie znajdując innego pożywienia.

Nie w każdej kniei koniecznem jest czynienie jednakowych zapasów karmy zimowej. W lasach, gdzie ich zarząd dbał w swoim czasie o to, aby gleba i pokrywa leśna dostarczała zwierzynie o każdej porze roku, dostateczną ilość pokarmu, zabiegi te nie będą trudne i kosztowne. Gdzie jest dostateczna ilość obsianych poletek bulwami (Helianthus, Topinambur), czy jarmużem tam zwierzyna zawsze je sobie znajdzie i wykopie. Gdzie dukty, drogi i rowy obsiano żarnowcem, wiecznym łubinem, gdzie w kniejach rosną większe ilości krzewów jarzębiny, jaśminu dzikiego, dzikich drzew owocowych, gdzie występują różne gatunki wierzby, odrośla osikowe i t. p. — tam karmienie ograniczy się do koniecznego minimum.

Gdzie zaś brak tych warunków lokalnych — tam musimy robić zapasy poważniejsze. Kto ma co zbierać na swych poletkach łowieckich musi teraz kopać, kto nie ma — kupować, zwozić i dołować w odpowiednich miejscach lub składać do suchych piwnic kartofle, buraki, marchew. Zbierać trzeba na karmę żołędzie, buczynę, kasztany i umieszczać je pod dachem, zbierać jarzębinę i wieszać ją w suchych miejscach, postarać się o jemiołę. W zależności od tego jak znaczne zapasy paszy suchej przygotowano w lecie, jak liściarki, koniczyny lub siana z potrawu i t. p. normujemy ilości potrzebnych do karmienia okopowych. Dla orjentacji przytoczyć można, że od 1 listopada do 1 kwietnia trzeba liczyć na 1 jelenia dziennie około $^1/_2$ kg. liściarki, 1 kg. paszy skoncentrowanej (owies w ziarnie lub w snopach, kukurydza, bobik koński, groch, chleb specjalny), 1 kg. paszy suchej (siano, koniczyna, łodygi bulw, seradela) i urozmaiconej paszą wilgotną (buraki, marchew, korzenie bulw, wytłoki i t. p.) oraz garść jarzębiny na tydzień, urozmaiconej żołędziami, buczyną, kasztanami i jemiołą. W tymże czasie na 10 sztuk sarn należy liczyć dziennie liściarki około 2 kg., paszy skoncentrowanej $2^1/_2$ kg. i 5 kg. paszy suchej z wilgotną. Znając dokładnie swój zwierzostan, można odpowiednio do tych norm, przystąpić do przygotowania zapasów karmy, mając na uwadze posiadane już i dotychczas zebrane ilości paszy.

W październiku myśliwy musi dokładnie zbadać stan paśników, brogów, drabinek i t. p. karmowych urządzeń łowieckich w kniei, takowe poczyścić, korytka wybielić i wyremontować, a głównie naprawić gontami daszki, gdzie zaciekają. Dla jeleni i sarn trzeba przygotowywać lizawki solne pod brogami, umieszczając je w szczelnych, mocnych, czystych korytkach. Lizawka musi być sporządzona z czystej gliny bez kamieni i piasku. Glinę tą rozrobić wodą, aby otrzymać gęstą papkę; na każde 20 — 25 kg. takiej papki wziąć 5 kg. soli kuchennej lub 7 kg. soli bydlęcej, zmoczyć mieszaninę jeszcze raz, aby się sól równomiernie rozpuściła, dodać do tego dla zapachu i zwabiania trochę anyzu czy kopru oraz ze 2 — 3 kg. wapna fosforowego, następnie dobrze zmieszać i ugnieść papkę, poczem kłaść do korytek. Można również kłaść całe kamienie solne soli bydlęcej, bryłki mniejsze lub większe bez dodatku gliny do lizania przez zwierzynę i to zarówno w korytkach pod brogami, jak i w innych specjalnych miejscach lasu. Na 50 ha terenu, gdzie przebywają jelenie i sarny trzeba 1 — 2 lizawek. Jeden jeleń zużywa rocznie około $3^1/_2$ kg. soli w lizawkach, jedna sarna około 2 kg. Według tej normy zużycia soli i stosownie do liczebnego stanu zwierzyny — należy przygotować na zimę odpowiednią ilość soli w lizawkach.

Wobec rozpoczynającej się w październiku eksploatacji lasu, kierownicy robót przy wyróbce drewna powinni pamiętać, jeżeli są myśliwymi lub otrzymać instrukcję od swych zwierzchników - myśliwych, że niezmiernie pożądanem dla zwierzyny, w tym właśnie jesiennym okresie, jest umożliwienie jej objedzeniu pączków i młodych pędów z wyrabianych drzew.

W tym celu należy cokolwiek opóźnić wyróbkę drobnych sortymentów drewna, jak chrostu czy gałęzi, aby zwierzyna zdążyła obgryźć wszystkie pączki i pędy.

W październiku karmić zwierzyny jeszcze nie trzeba, powinna ona sama sobie radzić. Jedynie w kniejach, gdzie dużo dzików, dla uniknięcia szkód w zasiewach sąsiadów, musimy zacząć je podkarmiać, jak również karmić bażanty pod budkami, co ma miejsce, jak wiadomo, w przeciągu całego roku. W październiku trzeba liczyć na 100 sztuk bażantów dziennie normę 7 litrów pszenicy lub 8 litrów jęczmienia. W związku z tem zapotrzebowaniem ziarna w kniejach, gdzie zaprowadzone są bażanty, jak również tam, gdzie dokarmiać będziemy w zimie kuropatwy, koniecznem jest zrobienie odpowiednich zapasów ziarna i pośladów.

W kniejach jelenich i sarnich odpowiednią jest obecnie pora dla zabezpieczenia cenniejszych gatunków drzew przed ich „korowaniem" czyli „spałowaniem" przez jelenie i przed „obcieraniem" czyli „czemchaniem" przez kozły. Jelenie najchętniej obrywają pasami korę u takich gatunków drzew, jak świerk, jodła, sosna-wejmutka, buk, dąb i jesion w wieku 15—30 lat, a nawet u starszych. Kozły obcierają parostki najchętniej o modrzew, sosnę-wejmutkę, akację i wszelkie egzotyczne gatunki drzew. Dlatego też w rewirach, gdzie jest duża ilość jeleni i sarn i gdzie należy obawiać się ranienia i zniekształcania, a nawet całkowitego zniszczenia wymienionych cenniejszych gatunków drzew, należy je ochraniać przez smarowanie smołą, obwiązywanie gałęziami sosny lub jałowca iglami wdół, otaczanie słupkami wbitemi w ziemię i t. p. W ostatnich czasach z powodzeniem stosuje się przeciw tym szkodom ranienie, czyli oskrobywanie płotkami, gęsto rozmieszczonemi na drzewie, kory u drzew iglastych, celem wywołania wycieku żywicy, która chroni drzewa przed spałowaniem i obcieraniem, gdyż jelenie i sarny takich zażywiczonych drzew unikają. Są specjalne hebelki i narzędzia, któ-

re służą do tego celu. Nie ulega wątpliwości, że głównym środkiem zapobiegawczym przeciwko korowaniu jest odpowiednie karmienie zwierzyny i utrzymanie łąk w dobrym stanie, gdyż głodne jelenie bardzo chętnie objadają korę.

Wobec zbliżającego się października, sezonu polowań na zające myśliwy musi pilnie strzec, czy w lasach lub jego pobliżu nie polują kłusownicy lub czy nie chodzą z bronią ludzie, nie mający prawa polowania lub pozwolenia na broń. Organizować należy dorywczo dzienne i nocne patrole, współpracować w tym kierunku z policją, aby tępić wszelkiemi siłami każdy objaw kłusownictwa lub przestępstw łowieckich. Straż leśna musi dokładnie przeszukiwać i jaknajczęściej obchodzić tereny, gdzie najchętniej przebywa zwierzyna, jak gęste zagajniki, kultury, przesmyki i zbierać zastawione przez wnykarzy sidła, wnyki, sieci, żelaza, samotrzaski i t. p. oraz dbać o zachowanie ciszy i spokoju w rewirze.

W październiku odpowiednią jest pora na niszczenie drapieżników czworonożnych i skrzydlatych, co zresztą cały rok jest konieczne. Rozpoczynać można polowania z naganką na lisy. Kopią też borsuki, gdzie ich obfitość, które oszczędzać należy, ze względu na ich coraz to malejącą liczbę. Niszczyć wszelkimi sposobami kuny, tchórze, łasice, gronostaje, wałęsające się psy i koty, nastawiać dobrze odwietrzone żelaza i pułapki skrzynkowe z przynętą. Tępić ptactwo drapieżne na polowaniach z puhaczem, z dobrze ukrytej budki.

Polowanie na jelenie na rykowisku trwa w październiku aż do końca miesiąca, przyczem w pierwszej kolei odstrzeliwuje się byki o lichem porożu, przeznaczone do odstrzału, a dopiero przy końcu rui byki kapitalne. Odstrzał kozłów na ukończeniu. Polowanie na kuropatwy w pełni, a mianowicie z dobrym legawcem. Na polowaniach tych myśliwy baczyć będzie, aby ostrzeliwać tyko duże stada i nie pozbawiać życia starego koguta-przewodnika, opiekującego się młodemi; strzelać tylko młode kury i nigdy nie palić w „kupę". Polowanie na bażanty-koguty rozpocznie się 1 listopada. W październiku trwa polowanie na dziki z czatami, na kaczki z podrywu, polują jeszcze na zlotach i przelotach, na gęsi i dropie z podjazdu, na cietrzewie i słonki z naganką i na jarząbki z wabikiem.

J. DRZEWIECKI.

NIE REPLIKA, LECZ PODZIĘKOWANIE.

Prawie każdy artykuł mój „fachowo-łowiecki", w którym rozwodziłem się nad problemami prawno-łowieckiemi i organizacyjno-łowieckiemi, kończyłem mniej więcej temi słowy: „Poglądów mych nikomu nie narzucam, lecz dyskusję nad kwestją poruszoną uważam za rzecz pilną i ważną, więc czekam polemiki. Jeżeli artykuł mój wywoła polemikę, to zadanie jego będzie wykonane". Niestety, po za jednym jedynym wypadkiem, artykuły moje fachowo-łowieckie nie wywołały replik i dyskusji. Świat myśliwski przeszedł i przechodzi nad niemi do porządku dziennego, jak nad nudnawym zrzędzeniem mizantropa, który z niepoprawnym zapałem dosiada wciąż tego samego, zlekka dychawicznego konika, nazwanego mianem, dźwięczącem obco, przydługo, tasiemcowo-nudnie: „organizacja społeczno-łowiecka"... Mówiłem— nikt nie odpowiadał, krzyczałem — nikt nie replikował, pieniłem się — nikt nie zwracał uwagi *). Pusto i obco czuć się zaczynałem w ukochanym przeze mnie „świecie myśliwskim". I nawet zadawałem sobie smutne pytanie, czy nie jestem w tym świecie myśliwskim intruzem, którego się zbywa milczeniem?

Aż szczęśliwy pomysł przyszedł mi do głowy. Odkładając narazie do szuflady światoburcze projekty propagandy łowieckiej i innych nowelizacyj, napisałem odczyt „o pięknej literaturze łowieckiej w Polsce". Po wygłoszeniu tego odczytu posłałem rękopis Redakcji „Łowca P." i z niepokojem czekałem — co będzie? Pomysł okazał się nadspodziewanie szczęśliwy. Nie tylko uderzyłem w strunę należytą, nie tylko wywołałem polemikę, lecz nawet doczekałem się zaszczytu, że jeden z najświetniejszych pisarzy myśliwskich, rzadko niestety wypowiadający się na łamach prasy łowieckiej, pokazał mi swój lwi pazur.

Mówię tu, naturalnie, o „Odczycie, replice i Homerze" p. St. Zaborowskiego („Łowiec Polski" Nr. 37). Ten to świetny, iskrzący się ostrą a dobrotliwą ironją artykuł wraz z artykułami Jego dwóch poprzedników pp. Zabiełły i Dylewskiego (Nr. Nr. 24 i 28) sprawiły, że niezawsze ożywiony w obecnych ciężkich czasach „Łowiec Polski" nabrał płomienych rumieńców, że wprost skandalicznie ignorujący, a nawet bojkotujący prasę łowiecką ogół myśliwych rozruszył się, że — jak mi opowiadały godne wiary osoby — w pewnym klubie myśliwskim na prowincji myśliwi, którzy dotąd, zahypnotyzowani brydżem lub pokerem, „Łowca Polskiego", od pół roku wogóle nie czytali, obecnie wyrywają sobie odnośne zeszyty przygadując: „ależ Zabiełło zadał bobu Pawlikowskiemu — ciekawe, co też ten odpowie", albo: „Zaborowski tak schlastał Pawlikowskiego, że się już pewno nie podniesie" i t. p. Słowem na polemice na temat „pięknej literatury łowieckiej w Polsce" mało kto stracił, a poczytność „Łowca Polskiego" napewno choć trochę zyskała. Bo niema nic gorszego we wszelkiej pracy, niż ospałość, rutyna, szablon. Bo każdej prasie, nawet fachowej, potrzebna jest dla życia jakaś podnieta, choćby nawet ta podnieta godziła trochę w uroczysty, dostojny, zlekka zalatujący myszką „ton".

Dlatego też szczerze, poważnie, — bez żadnej ukrytej ironji i bez żadnej myśli podstępnej — dziękuję z głębi serca wszystkim Szanownym moim Oponentom z Najczcigodniejszym p. Zaborowskim na czele za to, że ożywili łamy prasy łowieckiej, racząc ze mną polemizować, że nie zbyli milczeniem mego artykułu o literaturze łowieckiej, jak zbywano dotąd milczeniem moje artykuły „fachowe".

*) Mógłbym w razie potrzeby udowodnić, że brak polemiki wcale nie oznaczał, by czołowi działacze łowieccy podzielali moje poglądy.

Nie wierzę śledziennikom, którzy mi mówią:

— Wtedy pisałeś rzeczy rozwlekłe i nudne o jakichś propagandach, czynnikach społecznych, nowelizacjach, etatyzmach i politykach łowieckich.. Kogo to mogło poruszyć? Teraz napisałeś o ludziach żywych, więc zawrzało.

Nie wierzę podobnym insynuacjom. Wierzę natomiast, że — jak słusznie mówi p. Zaborowski — „temat odczytu jest na czasie", i dlatego wywołał aż trzy repliki.

Nie będę, nie chcę, nie mogę, nie potrafię replikować p. Zaborowskiemu.

Przedewszystkiem i jedynie z tej prostej racji, że 99% Jego cennych nauk całkowicie podzielam i ze skruchą przyjmuję do wiadomości.

Więc nie będę: ani spierać się o kwestję familijno-niedostatecznego opracowania przeze mnie tematu; ani zapytywać, czyżby naprawdę ustępy mego odczytu o „katedrze łowieckiej" i „filozofji łowiectwa" można było za co innego, niż za zwykły żart poczytać, ani kłócić się o prawo obywatelstwa w literaturze dla powiedzeń trywjalnych; ani dowodzić, że przymiotnik „egzotyczny" — mimo cały ciężar wielotomowych encyklopedyj — przystoi bardziej np. poleskiemu łosiowi, niż eksportowanemu z „dalekiej, zamorskiej" krainy rysakowi amerykańskiemu; ani wskazywać, że b i b l j o g r a f, mający może zaledwie parę „numerów" książek własnych, lecz korzystający z cudzych księgozbiorów publicznych i prywatnych to jedno, a b i b l j o f i l, gromadzący olbrzymią bibljotekę — to drugie; ani z obcą mi pedanterją zauważać, że Homer nie był Rzymianinem i przeto w todze nie mógł chadzać; ani tłumaczyć się, dlaczego nie wykonałem w treści odczytu tego, co obiecałem w tytule; ani wnikać w drobne daty biograficzne Wielkiego Zmarłego, który żył jeszcze zresztą, gdy odczyt mój był drukowany; ani doszukiwać się jakichś przycinków osobistych w zwrotach mówiących o „okólnikach", „papierach urzędowych", „rutynie" („administracyjnej"?)...

Ś. p. Roch Kowalski nie powiedział nigdy dosłownie: „Homer to Homer", natomiast wyraził się w pewnym wypadku: „wuj tumult uczyni". Odczyt mój o literaturze łowieckiej uczynił mały tumult i — mam wrażenie — już przez to samo spełnił swój cel.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

R O Z M A I T O Ś C I.

W. MARR.

W. Marr w Berlinie jest hodowcą pełnym poświęcenia, w wielkim stylu. Bogaty w doświadczenie i z niezwykłemi zdolnościami hodowlanemi, zapoczątkował już przed 30 laty swoją hodowlę pointrów „Blackfield" w Kijowie, które w swoich początkach idą od psów Arkwright'a.

Nadzwyczaj szczęśliwa ręka w doborze hodowlanego materjału i jakby „szósty" zmysł talentu hodowlanego, pozwolił W. Marrowi stworzyć pokolenie follblutów, które w krótkim czasie nie tylko w kraju ale i zagranicą zostały uznane i zyskały sławę najlepszych psów polowych.

A jaka recepta na to?

Kapitalny dobór materjału hodowlanego. Od najlepszego najlepsze.

W. Marr jest dziś naprawdę jednym z najwytrawniejszych znawców wyżła angielskiego.

Chcąc wyhodować należytego psa bez względu na koszty, trzymał się macierzystej linji, hodując suki z jednego pnia. Nie żałując pieniędzy odkupywał z drugich rąk wybitne suki, pochodzące z jego hodowli. Przy doborze reproduktorów nie liczył się z odległością miejsca i kosztami kurjera, jeżeli jako hodowcy najwięcej odpowiadały jako reproduktory dla jego suk.

Na fotografji obok umieszczony jest biało - czarny reproduktor Blackfield Scamp L. O. S. H. 30797, który jest w rękach hodowcy. Urodzony 12 marca 1928 r. z matki „Blackfield Perfection" L. O. S. H. 21639 i ojca „Stylish Moorhen" L. O. S. H. 29809, który w Anglji odniósł 19 zwycięstw polowych, a brat jego z tegoż miotu Champion Ben of Robin, został sprzedany za 4000 dolarów do Ameryki.

„Scamp", którego zalety budowy widzimy na fotografji, zdobył w Belgji w datach 1929 i 1930 wiele nagród na próbach polowych oraz zwyciężał na wystawach. W Niemczech 27 kwietnia 1931 r., w Rüsselskermie na próbach Deutschen Pointer u. Setterverein 2 nagrodę, Deutschen Jagdklub, Berlin 1931 2 nagrodę, prowadzony był przez tresera Henri Gaspara z Esquier w Belgji.



W. Marr.

„Anglicy" mogą nawet w krainie dowodnego wyżła odegrać wybitną rolę. Kto polował z dobrze ułożonym pointeresem choć raz, nie zapomni tej rozkoszy, jaką swoją pracą może sprawić szybki jak strzała follblut.

Wielkiemu hodowcy Blackfield Pointerów W. Marrowi — Cześć!

SZKODY WYRZĄDZANE PRZEZ ZWIERZYNĘ ŁOWNĄ W ROŚLINACH OKOPOWYCH.

Korzenie, bulwy i kłącze roślin okopowych są smacznem pożywieniem nietylko dla różnego rodzaju tworów ziemnych, lecz również dla zajęcy i sarn, a nawet bażantów.

Jak dokładnie potrafi zając lub królik ogryźć korzeń buraka, zwłaszcza pastewnego, o tem wie najlepiej rolnik, choć chętnie mu to wybacza.

Sarna jest wielką amatorką ziemniaków tak nie wykopanych, jak złożonych w kopcach. Gdzie liczebność sarn jest znaczna, spotkać można kultury ziemniaczane do tego stopnia rozdrapane, że kartofle leżą na wierzchu i zielenieją, a nać więdnie i usycha. Po sprzęcie ziemniaków sarny chętnie nawiedzają ziemniaczyska, gdzie wygrzebują pozostałe kartofle, przekładając tę paszę nad koniczynę i oziminy.

W bezmroźne zimy sarny rozgrzebują niekiedy kopce i zjadłszy słomę dobierają się do ziemniaków, a biada takim, oddalonym od wsi, kopcom, jeśli na rachunek sarn grzebać w nich zacznie zły człowiek.

Szkodom w kopcach, wyrządzanym przez sarny, można zapobiec okładaniem kopców cierniem, lub drabinami wozów żniwnych.

W ostre zimy sarna odgrzebuje śnieg na ziemiaczyskach, wyjada ziemniaki, a nawet wylizuje ziemię w miejscu, gdzie ziemniak leżał, przesiąkłą smacznemi dla sarn substancjami, wydzielającemi się ze zmarzniętych kartofli.

Wśród zwierzyny pierzastej poważnym szkodnikiem roślin okopowych jest bażant. Ziemniaki potrafi niekiedy tak dokładnie rozdrapać, że całe krzaki usychają, co częstokroć przez nieświadomość zapisuje się na rachunek sarn. Odkryte kartofle zielenieją i stają się niejadalnemi, a nawet trującemi. Po za tem bażant dziobie kartofle i zjada — zostawiając prawie samą łupinkę. Jest też wybrednym smakoszem, umiejącym rozróżnić odmiany stołowe od przemysłowych.

Zdawaćby się mogło, że bażant dobiera się do okopowych w lata suche — poszukując paszy soczystej i wodnistej. Tymczasem obserwacja uczy, że rozdrapuje i wydziobuje ziemniaki i w bezpośredniej bliskości wody czy to stojącej, czy bieżącej.

Starsze buraki cukrowe i pastewne dziobie bażant tuż pod liściem — młodsze ogławia z koroną—tak-że burak wygląda, jak objedzony przez myszy.

Poważne szkody wyrządza w plantacjach ogórkowych — pozostawiając nieraz samą skórę bez miąszu i pestek.

Dodajmy do tego jego wielkie upodobanie do kukurydzy — a przekonamy się, że rolnik płacić musi znaczną daninę temu — zresztą użytecznemu i miłemu ptakowi.

WŁ. KARNKOWSKI.

NIEZWYKŁE UZĘBIENIE KOZŁA.

Prezes sądu w Poznaniu, p. Saturnin Mravincsics, nadesłał mi do zbiorów oryginalną fotografję, którą z całą gotowością dzielę się z Szanownymi Czytelnikami. Fotografja ta przedstawia górną szczękę kozła, ubitego przez p. Mravincsicsa, dnia 10 sierpnia b. r. w rewirze Rąbczyn państwowego nadleśnictwa Durowo (pow. Wągrowiec).

Ciekawą jest ta fotografja z powodu niezwykłego uzębienia, które — jak wiadomo — składa się u sarny z 32 zębów, identycznie, jak u owcy domowej. Na fotografji widzimy niezwykłe zjawisko: nadliczbowe zęby wrosłe po obu stronach w podniebienie. Siedzą one dość słabo i mają po trzy słabe korzenie.



Niezwykłe uzębienie kozła.

Wiktor Stephan w monografji „Sarna" (Warszawa, 1903) pisze:

„Kłów sarna nie posiada, trafia się jednak wyjątkowo, że w górnej szczęce, tak rogaczom, a częściej jeszcze kozom, słabe kły wyrastają. Kły często nie dochodzą zupełnego rozwoju, są pod dziąsłem ukryte i dopiero za podskrobaniem dziąsła dostrzegać się dają".

Sądzę jednak, że z różnych przyczyn nie możemy tu mówić o kłach, a raczej o zębach przedtrzonowych. Wskazują na to fakty: 1) po trzy korzenie w każdym zębie, 2) miejsce usadowienia się tych zębów, 3) górna ich powierzchnia, szeroka jak innych zębów, wykazująca przydatność tylko do rozcierania pokarmów, a nie do rozrywania, co jest zadaniem tylko kłów, głęboko i silnie przez naturę osadzonych.

Mamy tu więc najprawdopodobniej do czynienia z nadzwyczajnym wybrykiem natury. W uzębieniu wogóle zdarzają się liczne niespodzianki.

Jeden z poważnych preparatorów, który w długim okresie wykonywania swej profesji miał w ręku kilka tysięcy czaszek koźlich, oświadczył, że poraz pierwszy spotyka się z podobnym wypadkiem.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

SPRAWA BOBRÓW.

Przed kilku laty w nadleśnictwie Bucharzewo w Wielkopolsce, w miejscowości znakomicie na ten cel nadającej się, ulokowano dwie pary bobrów, za-

kupionych w Kanadzie. Ministerjum rolnictwa, ponosząc znaczne koszty zakupu i transportu tych zwierząt, chciało zapoczątkować hodowlę bobrów, ze względu na ich cenne futro. Niedawno sprowadzono jeszcze 2 pary z Norwegji. Jedna para zginęła, a drugą postanowiono ofiarować ogrodowi zoologicznemu w Warszawie, aby uniknąć niepożądanego krzyżowania z bobrami kanadyjskiemi. Wywołało to liczne komentarze w prasie poznańskiej, które dyrekcja lasów państwowych w Poznaniu sprostowała, podając rzeczywiste przyczyny tego cennego daru dla Zoo warsz.

Bobry kanadyjskie rozmnażają się w swojem osiedlu znakomicie, tak, że część zostanie przesłana do dyrekcji lasów w Łucku.

W tamtych okolicach warunki są jeszcze bardziej odpowiednie i to może zachęci! prywatnych hodowców do nabywania parek bobrów, które w dyrekcji poznańskiej sprzedaje się po cenach bardzo dostępnych.

Z czasem może bóbr zajmie to stanowisko, jakie niegdyś zajmował w Polsce.

KŁUSOWNICTWO.

Dowiadujemy się z Poznania o krwawej walce z kłusownikami pod Otulicami, pow. wągrowieckiego. W dniu tym strażnicy leśni, Jan Kurdak i Adam Chrostek, w czasie patrolowania lasu spotkali kilku kłusowników na stanowiskach. Kłusownicy ci mieli ze sobą zabitą sarnę.

Kiedy strażnicy wezwali ich do złożenia broni i zwrotu zastrzelonej zwierzyny, kłusownicy poczęli uciekać, gęsto ostrzeliwując się. Strażnicy również chwycili za strzelby. Powstała długa i gwałtowna strzelanina, w wyniku której jeden kłusownik, mianowicie Adolf Chata, został zabity, a drugi — Steinbrenner ciężko rany. Trzeci kłusownik zdołał zbiec. Steinbrennera przewieziono do szpitala, na miejsce zjechały władze sądowe.

Z OGRODU ZOOLOGICZNEGO W WARSZAWIE.

Do Warszawskiego ogrodu zoologicznego przybyła hjena plamista, ofiarowana bezpłatnie przez magistrat m. Katowic w związku z likwidacją tamtejszego ogrodu zoologicznego. Hjenę umieszczono w pawilonie wilków, obok przebywającej już w ogrodzie pary hjen.

W tych dniach ogród zoologiczny w Warszawie otrzymał drugi okaz sępa-mnicha. Jest to największy egzemplarz ptaka drapieżnego, z przebywających na ziemiach polskich. Sępa ofiarował ogrodowi p. Paweł Radyński; ptaka, złapanego w Małopolsce, umieszczono w woljerze dla orłów.

Dwie kurki wodne, siedzące na gniazdach, wylęgły 6 młodych, jedna dwie, druga cztery.

Kurki wodne, coprawda, należą do ptaków dość pospolitych na stawach i rzekach polskich, ale w niewoli chowają się bardzo trudno. Są to małe — czarne ptaszki z rodziny chróścieli, pokrewne derkaczowi.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

W dniu 5 września r. b. odbyło się polowanie na kuropatwy w Masłowicach, u p. St. Zalewskiego. W 10 strzelb ubito 305 kuropatw; królem polowania był p. B. Jakubowski (49 szt.). Stan kuropatw doskonały.

•

W dn. 7.9.32 otwarto sezon polowań na kury w Dylewie (pow. grójecki), u pp. Janostwa Jachowskich. W 10 strzelb w ciągu paru tylko godzin ubito 186 kuropatw; królem polowania był p. B. Jakubowski (39 sztuk). Stan kuropatw znakomity, podniósł się znacznie od roku ubiegłego.

•

W powiecie koneckim ładne i liczne lęgi kuropatw przepadły; przyczynę trudno skonstatować, gdyż warunki atmosferyczne były dogodne. Widzi się powtórne lęgi, małe i niewyrośnięte stadka.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.